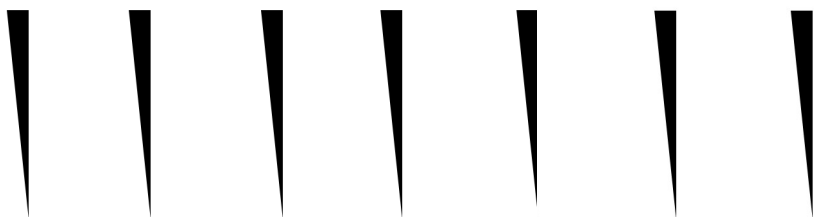


MANSON

Tom O'Neill Dan Piepenbring

MANSON

CIA, NARKOTYKI,
MROczne Tajemnice Hollywood



Przełożył
Radosław Madejski



Tytuł oryginału: *Chaos*
Projekt okładki: *Tomasz Majewski*
Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Copyright © 2019 by Tom O'Neill
Zdjęcie na okładce © Bettmann/Getty Images
© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2019
© for the Polish translation by Radosław Madejski

ISBN 978-83-287-1280-5

Wydawnictwo Akurat
Warszawa 2019

Prolog

Vincent Bugliosi perorował zapamiętane.

– Nie ma nic gorszego, niż oskarżyć prokuratora o to, co zarzucasz mnie! – krzyczał. – To jest karygodne oszczerstwo!

Był luty 2006 roku, świeciło słońce, a my siedzieliśmy w kuchni jego domu w Pasadenie. Kwiatowe ornamenty, wyściełane meble i płot z białych sztachetek za oknem nie za bardzo licowały z atmosferą wrogości, która wzbierała w tym przytulnym wnętrzu. Bugliosi chciał mnie pozwać. Ostrzegał, że zażąda stu milionów dolarów odszkodowania i będzie to „jeden z największych procesów o zniesławienie w historii dziennikarstwa”. Nie zdołam zatrzymać całej tej maszyny sądowej, jak mnie zapewniał, jeśli nie stonuję swoich wypowiedzi na jego temat.

– Myślę, że powinniśmy uważać się za wrogów – oświadczył później.

Vince – mówiliśmy sobie po imieniu, bo tak chyba przystoi wrogom – był znakomitym mówcą i właśnie wygłaszał jedną z typowych dla siebie tyrad. Tego dnia nasz wywiad ciągnął się do ponad sześciu godzin, a on prawie nie dopuszczał mnie do głosu, rozprawiając z takim samym znawstwem, jak przed trzydziestu pięciu laty, kiedy występował jako oskarżyciel w procesie Charlesa Mansona.

Mimo siódmego krzyżyka na karku zachował imponującą posturę i górował nade mną, kiedy siedzieliśmy przy laminowanym stole, na którym spoczywały notatniki, zapisane kartki, dyktafony, długopisy i stos książek – wszystkie jego autorstwa. Krzepki i dziarski, z metalicznym błyskiem w niebieskich oczach, przysiadł na krześle tylko po to, by po chwili znów się zerwać i oskarżycielsko wymierzyć w mnie palec.

Wertując jeden ze swoich żółtych brulionów, podpierał się komentarzami, które sobie zaznaczył.

– Jestem przyzwoitym facetem, Tom, i zamierzam ci uświadomić, jak przyzwoity jest Vince Bugliosi.

I tak też uczynił – miał przygotowane „oświadczenie wstępne”, które mi odczytał, co zajęło mu czterdzieści pięć minut. Uparł się, żeby zacząć od tego. Wciągnął w to wszystko swoją żonę Gail, żeby mieć świadka na wypadek, gdybym próbował coś przeinaczyć. Słowem zamienił swoją kuchnię w salę rozpraw. A na sali rozpraw był w swoim żywiole.

Bugliosi stał się sławny dzięki sprawie Mansona, przykuwając uwagę całego narodu opowieściami o hipisowskich mordercach, praniu mózgu, konfliktach etnicznych i upiornych konsekwencjach transów narkotycznych. Od początku przypominał mi wielokrotnie, że napisał trzy bestsellery, a jeden z nich, *Helter Skelter*, stał się najpopularniejszą książką z gatunku true crime. Jeśli Vince był tego dnia trochę podekscytowany, to nie ustępowałem mu pod tym względem. Zamierzałem go nękać pytaniami o jego rolę w procesie Mansona. *Helter Skelter* ma wiele słabych punktów – nieścisłości, przemilczeń i sprzeczności z raportami

policyjnymi. Sprowadza się do oficjalnej relacji i mało komu przyszłoby do głowy, żeby ją podważać. Odkryłem jednak skarbnicę dokumentów – wielu z nich nikt nie przeglądał od dziesiątek lat i nigdy nie uwzględnił w żadnym sprawozdaniu – obciążających Bugliosiego oraz grono osób, które odegrały w tej sprawie kluczowe role, jak kurator sądowy Mansona, jego przyjaciele z Hollywood, a także otaczający go prawnicy, śledczy, naukowcy i lekarze. Między innymi wpadła mi w ręce odręczna notatka Vince’a stanowiąca dowód na to, że jeden z jego świadków skłamał pod przysięgą.

Czasami się zastanawiam, czy Vince zauważył, jakim kłębkim nerwów byłem tego dnia. Nie jestem szczególnie pobożny, ale rano poszedłem do kościoła i odmówiłem krótką modlitwę. Mama zawsze mi mówiła, że warto się pomodlić, jeśli człowiek potrzebuje pomocy, a w takiej sytuacji nie pogardziłbym żadnym wsparciem. Miałem nadzieję, że ta rozmowa z Bugliosim stanie się punktem zwrotnym w moich wnikliwych badaniach dotyczących sprawy Mansona, którym poświęciłem siedem lat. Jak dotąd przeprowadziłem ponad tysiąc wywiadów z różnymi ludźmi. Na różnych etapach mojej pracy czułem się załamany i nachodziły mnie obawy, że staję się jednym z „tych ludzi”, dotkniętym obsesją zwolennikiem teorii spiskowych, zwykłym szaleńcem. Przestałem utrzymywać kontakty z przyjaciółmi, a członkowie rodziny zaczęli się martwić o moje zdrowie psychiczne. Sam Charles Manson beształ mnie zza murów więzienia. Wiele razy grożono mi śmiercią. Nie jestem łatwowierny, ale moje odkrycia wydawały mi się nieprawdopodobne – okazało się, że sprawa zbrodni

sprzed ponad półwiecza zalatuje tuszowaniem faktów i mactwem, w które uwikłana była policja z całej Kalifornii. A także sądy. A także – muszę wziąć głęboki oddech, zanim to powiem – CIA.

Gdybym zdołał nakłonić Bugliosiego, aby przyznał się w wywiadzie do popełnionych uchybień lub nawet przypadkowo ujawnił jakieś szczegóły, mógłbym wreszcie doprowadzić do końca dziesiątki niewyjaśnionych wątków w moim dziennikarskim śledztwie. Może wkrótce potem wróciłbym do normalnego życia, jakkolwiek miałoby ono wyglądać. A przynajmniej zyskałbym pewność, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby dotrzeć jak najdalej w głąb tej bezdennej otchłani.

Jednak siedząc w tej kuchni i patrząc, jak mija godzina za godziną, podczas gdy Vince bierze w obronę i obwarowuje każde swoje zdanie, zacząłem tracić entuzjazm. Unikał odpowiedzi na moje pytania i prawie nie dopuszczał mnie do głosu.

– Jestem pełen uznania – rzekł z przekąsem. – Znalazłeś coś, czego ja nie widziałem na oczy. Owszem, pewne rzeczy mogły mi umknąć – przyznał i było to jedyne ustępstwo z jego strony, ale zaraz potem dodał: – Ale nigdy nie zrobiłbym tego, co insynuujesz. Czy to jasne? Nigdy. Przeczyłoby temu wszystko, czego w życiu dokonałem. A po drugie, Tom, nawet gdybym brał pod uwagę coś takiego – chodziło mu o nakłanianie do krzywoprzysięstwa – to do niczego nie prowadzi. To niedorzeczne. Bzdura i tyle... Zresztą kogo to obchodzi? To rzecz bez znaczenia!

Kogo to obchodzi? Od wielu lat nieraz zadawałem sobie takie pytanie. Czy warto inwestować tak wiele czasu

i energii w badanie jednej z najgłośniejszych i najczęściej komentowanych zbrodni w dziejach Ameryki? Jak w ogóle mogłem się w coś takiego zaangażować? Pamiętam, jak słuchając przydługiego „oświadczenia wstępnego” Vincenta, zerkalem na jego żonę. Gail siedziała oparta o kuchenny blat i oczy same się jej zamykały ze zmęczenia, aż w końcu nas przeprosiła i poszła na górę, żeby się położyć. Pewnie już setki razy słuchała tych wszystkich jego wyczelowanych kwestii, w których dodawał sobie splendoru. Kiedy spoglądam na siebie z boku, odnoszę wrażenie, że wszyscy czują się tak jak Gail tamtego dnia. O nie, znowu morderstwa Mansona. Już to przerabialiśmy. Wiemy już wszystko, czego można było się dowiedzieć. Nie każ nam znowu tego słuchać.

Dlatego niemal poczułem otuchę, kiedy zobaczyłem, że Vince jest taki niespokojny. To właśnie świadomość, że zależał mu za skórę, dodawała mi sił. Dlaczego tak bardzo mu zależało, żeby położyć temu kres? I jeżeli to, co odkryłem, rzeczywiście jest „bez znaczenia”, czemu tak wielu jego byłych współpracowników mówiło mi coś wręcz odwrotnego?

Od jednego z tych ludzi Vince dostał cynk o moich poszukiwaniach i ubzdurał sobie, że podejrzewam go o wrobień Mansona. Oczywiście się mylił. Nigdy nie broniłem Mansona. Moim zdaniem był on w każdym calu takim wcieleniem zła, jakim przedstawiały go media. Jednak faktem jest, że Stephen Key – współoskarżyciel w procesie i człowiek spoza kręgu przyjaciół Bugliosiego – nie krył zdumienia odręcznymi notatkami Vince’a, które znalazłem. Powiedział mi, że to by wystarczyło, żeby unieważnić

wyroki zasądzone Mansonowi i członkom jego sekty. Nigdy do tego nie dążyłem. Chciałem tylko odkryć, co tak naprawdę się stało.

– Teraz nie wiem, w co wierzyć – wyznał mi Kay. – Jeśli Vince zmienił coś takiego, to co jeszcze mógł zmienić?

Również chciałbym poznać odpowiedź na to pytanie, ale Vince zawsze potrafił zręcznie zmienić temat.

– Do czego to prowadzi? – powtarzał. – Jaki to ma sens?

Sens moim zdaniem był taki, że akt krzywoprzysięstwa stawiał pod znakiem zapytania cały motyw zbrodni. Jednak Vince nie wziął tego pod uwagę, gdyż był zbyt zajęty wygłaszaniem protekcyjnych komentarzy na temat motywów mojego postępowania. Jak mam czelność insynuować, że zrobił coś niegodziwego? Jak mogę spojrzeć sobie w oczy, jeżeli zszargałem jego nienaganną reputację? Z upodobaniem powtarzał, że wszystkie zmiany trzeba zaczynać od „człowieka w lustrze”, jakby to on sam, a nie Michael Jackson rozpowszechnił to powiedzenie.

– Przed nim nie uciekniesz – mówił. – Nie uwolnisz się od niego!

Próbowałem skierować rozmowę z powrotem na Mansona, jednak Vince nic sobie z tego nie robił. Chciał mi czytać jakieś „rekomendacje” na temat swojego szlachetnego charakteru, żeby „włączyć je do protokołu”.

Tego dnia obaj mieliśmy po dwa dyktafony – okazałem się tak samo zapobiegliwy jak on, bo również nie chciałem ryzykować, że wskutek jakiejś usterki zostaną z niepełnym zapisem rozmowy. Wiele razy, ilekroć napięcie rosło i Vince zamierzał powiedzieć coś poufnego, domagał się, abyśmy przerwali nagrywanie, co oznaczało, że każdy z nas

musiał wyłączyć dwa magnetofony, czasami jedynie na kilka sekund, żeby potem uruchamiać je na nowo. Musiałem patrzeć mu na ręce, bo często zapominał o jednym ze swoich.

W takich chwilach naskakiwał na mnie, a jego oczy ciśkały gromy spod siwych brwi.

– Jeśli w swojej książce dopuścisz się zniesławienia, jedno powinieneś wiedzieć... Powinieneś wiedzieć, że nie zostawisz mi wyboru. Będę musiał cię pozwać – oświadczył.

Kiedy wyszedłem z jego domu, słońce już znikło za górami San Gabriel, a mnie bolała głowa od wszystkich tych krzyków. Gail nie zadała sobie trudu, żeby zejść na dół. Zanim dotarłem do samochodu, Vince złapał mnie za rękę i przypomniał mi, że jego przychylna opinia mogłaby zwiększyć sprzedaż mojej książki – a on chętnie by się do tego przyczynił, zwłaszcza że zaaprobował rękopis.

– Nie oczekuję niczego w zamian – dodał, ale trudno było mi w to uwierzyć.

Wracając do domu, czułem przygnębienie. Właśnie stoczyłem pojedynek z jednym z najsłynniejszych prokuratorów i autorów prozy dokumentalnej. Oczywiście nie udało mi się go złamać, ale wiedziałem, że nie jestem w tym odosobniony. Inni dziennikarze przestrzegali mnie przed jego trudnym usposobieniem. Mary Neiswender, która pracowała dla „Long Beach Press Telegram” i „Independent” powiedziała, że Bugliosi jej groził, kiedy w latach osiemdziesiątych przygotowywała demaskatorski artykuł na jego temat. Wiedział, do której szkoły chodzą jej dzieci i napomknął, że „bardzo łatwo podrzucić narkotyki do ich szafek”.

Tak naprawdę nie potrzebowałem nawet informacji z innych źródeł – zaledwie przed kilkoma minutami Vince osobiście wyznał, że nie ma skrupułów przed krzywdzeniem ludzi, jeśli trzeba „wymierzyć sprawiedliwość albo wziąć odwet”.

Jak się okazało, nie było mi dane długo cieszyć się spokojem. Po powrocie do domu w Venice Beach zastałem na automatycznej sekretarce wiadomość od Bugliosiego. Chciał przedyskutować „parę dodatkowych kwestii”, więc oddzwoniłem do niego i przegadaliśmy kolejnych kilka godzin. Następnego dnia znów odbyliśmy rozmowę telefoniczną, a potem jeszcze jedną i jeszcze jedną. Kiedy Vince się zorientował, że nie zamierzam ustąpić, ogarniała go coraz większa irytacja.

– Jeżeli chociaż zasugerujesz swoim czytelnikom, że załatwiłem jakieś dowody przed ławą przysięgłych – zapowiedział przez telefon – to możesz mi wierzyć albo nie, ale narazisz siebie i swojego wydawcę na problemy finansowe.

Domagając się przeprosin, zapewniał mnie, że „stąпам po kruchym lodzie”.

– Niewykluczone, że kiedy znowu się zobaczymy, będziesz stał przed sądem i odpowiadał na moje pytania.

Na szczęście do tego nie doszło. Następnym razem spotkałem go w czerwcu 2011 roku. Wypatrzył mnie – swojego wroga – wśród publiczności wypełniającej aulę biblioteki w Santa Monica, gdzie miał wygłosić odczyt.

– Ty jesteś Tom O’Neill? – zagadnął.

– Tak. Część, Vince.

– Z czego się tak cieszysz?

Jego uwagę musiał przyciągnąć mój nerwowy uśmiech.

– Cieszę się, że cię widzę – odparłem.

Zmierzył mnie badawczym spojrzeniem i zapytał:

– Zrobiłeś coś z włosami?

– Nie.

– Masz inną fryzurę – stwierdził, a potem ruszył dalej przed siebie, przeciskając się przez tłum.

To była nasza ostatnia rozmowa. Vince zmarł w 2015 roku. Czasami żałuję, że nigdy nie przeczyta tej książki, nawet gdyby miał mnie poznać z powodu jej treści. Jakiż byłem naiwny, oczekując od niego konkretnych odpowiedzi na moje pytania. Odtwarzam w pamięci nasze rozmowy i zastanawiam się, kiedy miałem szansę przyłapać go na kłamstwie, kiedy powinienem był przycisnąć go mocniej i jak mogłem odeprzeć jego kontrataki. Naprawdę sądziłem, że przy odpowiedniej dozie wytrwałości zdołam dokończyć do prawdy. Wszyscy, którzy mogliby ją wyjawić, z Mansonem włącznie, dziś już nie żyją, a mnie od dwudziestu lat nie przestają nurtować te same pytania. Ale co do jednego nie mam wątpliwości – większość rzeczy, które uznajemy za fakty, jest fikcją.

Rozdział 1

Zbrodnia stulecia

Dwadzieścia lat opóźnienia

Moje życie weszło w ostry zakręt 21 marca 1999 roku, dzień po moich czterdziestych urodzinach – właśnie wtedy wszystko się zaczęło. Leżałem skacowany w łóżku, tak samo jak po niezliczonych imprezach urodzinowych w poprzednich latach, i ogarniała mnie fala wstrętu do samego siebie. Byłem niezależnym dziennikarzem i od czterech miesięcy nie pracowałem. Dziennikarstwem zająłem się niemal przez przypadek. Przez wiele lat nocami woziłem turystów dorożką po Central Parku i z czasem niezamawiane materiały, które przysyłałem do takich magazynów jak „New York”, zapewniły mi poważniejsze i korzystniejsze zlecenia. Chociaż czułem się szczęśliwy, kiedy zamieszkałem w Venice Beach i utrzymywałem się z pisanie, tęskniłem za Nowym Jorkiem, a moje perspektywy na przyszłość wciąż były niepewne. Moi przyjaciele mieli zobowiązania – zakładali rodziny, pracowali od rana do wieczora w zgiełkliwych biurach, żyli pełnią życia. A ja wprawdzie miałem lata

młodości już za sobą, ale cieszyłem się taką swobodą, że mogłem się wylegiwać do późnego popołudnia – i w zasadzie tego dnia na niewiele więcej byłoby mnie stać. Czułem się do bani. Kiedy zadzwonił telefon, musiałem zdobyć się na spory wysiłek, żeby podnieść słuchawkę.

Dzwoniła Leslie Van Buskirk, moja dawna redaktorka z magazynu „Us” zatrudniona obecnie w „Premiere”, żeby zaproponować mi zlecenie. Zbliżała się trzydziesta rocznica mordu dokonanego przez sektę Rodzina i Leslie potrzebowała reportażu o pokłosiu tamtych wydarzeń wśród mieszkańców Hollywood. Nawet po tylu latach Manson wciąż był swego rodzaju symbolem brutalnej przemocy w amerykańskim stylu – takiej, która zdaje się wyskakiwać znikąd i potwierdza najmroczniejsze lęki co do natury naszego społeczeństwa. Tamta zbrodnia, jak twierdziła moja redaktorka, wciąż wywierała ogromny wpływ na zbiorową wyobraźnię. Co sprawiało, że Manson był taki wyjątkowy? Dlaczego wraz ze swoją sektą wciąż stanowił element przekazu kulturowego, podczas gdy inne, nawet bardziej makabryczne zbrodnie spadały w zapomnienie? „Premiere” był magazynem filmowym, dlatego moja redaktorka chciała, żebym porozmawiał z przedstawicielami hollywoodzkiej starej gwardii – pokolenia, dla którego Manson był niepokojąco „teraźniejszy” – i dowiedział się, jak postrzegają go z perspektywy trzydziestu lat. Był to tylko ogólny zarys, jednak Leslie wierzyła, że nadam mu właściwy kształt i stworzę coś frapującego.

Omówiłem jej nie odmówiłem. Nigdy nie interesowałem się szczególnie tą sprawą. Kiedy to się stało, miałem dziesięć lat i mieszkalem w Filadelfii. Nie przypominam sobie, aby zbrodnia Mansona jakoś szczególnie mnie obeszła, chociaż

mój brat zaklina się, że pamięta, jak zbierałem wycinki prasowe na ten temat. Jeśli już, to mogłem się uważać za jednego z nielicznych mieszkańców tej planety, którzy nigdy nie słyszeli *Helter Skelter* Beatlesów. Manson był spowszedniały niczym popularna piosenka albo kultowy film i właśnie dlatego nie wzbudzał mojego zainteresowania. Morderstwa, do których doszło za jego namową, często nazywano zbrodnią stulecia, a coś, co zasługuje na takie miano, zazwyczaj jest już dogłębnie zbadane.

Jednak musiałem wreszcie czymś się zająć i zdałem się na osąd Leslie. Wspólnie pracowaliśmy nad kilkoma artykułami dla magazynu „Us” – wtedy nie był jeszcze plotkarskim tygodnikiem i ukazywał się co miesiąc – i zlecenie takie jak to byłoby mile widzianą odskocznią od typowych dla dziennikarstwa lifestylowego wywiadów z gwiazdami filmowymi, które odwiedzałem w ich luksusowych rezydencjach w Hollywood Hills i wysłuchiwałem oklepanych kwestii o odważnych decyzjach zawodowych i potrzebie prywatności. Nie mówię, że była to praca pozbawiona zawirusowań. Kłóciłem się zaciekle z Tomem Cruise’em o scenologię, w trakcie wywiadu z Garrym Shandlingiem nagle zostałem sam w jego domu, a Aleca Baldwina doprowadziłem do furii, ale jego wszyscy wkurzają.

Innymi słowy miałem trochę doświadczenia, ale tak naprawdę niezbyt wiele, jeśli chodzi o dociekanie prawdy. Kiedy ostatnio pisałem o niewyjaśnionym morderstwie, natrafiłem na kilka obiecujących tropów, ale ponieważ sprawa była w głównej mierze poszlakowa, redakcja wołała nie podejmować zbędnego ryzyka i mój artykuł ukazał się „ze spiłowanymi pazurkami”.

Pomyślałem, że tym razem mógłbym lepiej się spisać. O ile mnie pamięć nie myli, mój skacowany umysł nie widział w tym zadaniu nic trudnego. Umówiliśmy się na pięć tysięcy słów za trzy miesiące. Potem zacząłem się zastanawiać nad możliwością powrotu do Nowego Jorku.

Minęło dwadzieścia lat, a mój reportaż nadal nie jest ukończony, „Premiere” już nie istnieje, a ja nadal mieszkam w Los Angeles.

Układanka

Zanim zacząłem przeprowadzać wywiady, przeczytałem *Helter Skelter*. Uświadomiłem sobie, o co chodzi w całym tym zamieszaniu – to była mocna i wciągająca książka pełna makabrycznych szczegółów, o których nie miałem pojęcia. Opisane w niej morderstwa otaczała tak złowroga aura, że zawsze zdawały się funkcjonować w próżni. A jednak w relacji Bugliosiego wszystko to, co jawiło się jako nieciekawe i przebrzmiałe, odsłaniało nagle swoje intrygujące oblicze.

W trakcie lektury sporządzałem notatki i planowałem wywiady, próbując znaleźć jakiś aspekt sprawy, którego jeszcze nikt nie zgłębił. Na początku książki Bugliosi sprowadza na ziemię każdego, komu się wydaje, że śledztwo w sprawie morderstwa jest proste:

W literaturze miejsce zbrodni przyrównywane jest często do obrazkowej układanki. Jeśli ktoś jest wystarczająco cierpliwy i nie ustaje w wysiłkach, umieści w końcu wszystkie kawałki we właściwych miejscach.

Policyjne wygi mają na tę sprawę inny pogląd (...). Nawet jeśli pojawia się jakieś rozwiązanie, to pozostają zbędne kawałki – dowody, które do niczego nie pasują. A niektórych fragmentów zawsze będzie brakować.¹

Zgadzałem się z nim, mimo to nie dawały mi spokoju te „zbędne kawałki”, których w tym przypadku nie zauważyłem zbyt wiele. Układanka Bugliosiego była niepokojąco kompletna.

Jego poczucie pewności utwierdziło mnie w przekonaniu, że media zdążyły już wyczerpać temat. Drażnienie tej sprawy mogłoby zatem wyczerpać także i mnie. Bugliosiego nazywa Mansona „ucieleśnieniem zła” oraz symbolem „mrocznego i złowrogiego oblicza człowieczeństwa”. Przywołując w pamięci twarz Mansona, widziałem to zło – maniackalny błysk w oczach i wyciętą na czole swastykę. Widziałem nasze wyobrażenia o schyłku lat sześćdziesiątych. Widziałem zwyrodnienie hipisowskich marzeń, przedśmiertne drgawki kontrkultury i panującą w Los Angeles posępłą dionizyjską atmosferę, w której łączyły się żywioły pieniędzy, seksu i sławy.

Ponieważ wszyscy dobrze znamy ten obraz, trudno mówić o tych morderstwach w sposób, który oddaje całą skalę ich potworności. Przyswajamy nagie fakty prawie tak samo, jakbyśmy wkuwali na pamięć szkolne formułki, odzierając je z głębszego sensu i dlatego masakra, która przed laty wstrząsnęła Ameryką, została sprowadzona do

¹ Vincent Bugliosi, Curt Gentry, *Helter Skelter. Sprawa Mansona*, przekł. Mirosław P. Jabłoński, Warszawa 1999, s. 25

serii zwięzłych haseł w Wikipedii i popularnych zdjęć. Jak każde inne wydarzenie historyczne, wydaje się nam odległa i jednoznaczna.

Najważniejsze, abyśmy poculi ten wstrząs, który zaczyna powracać, kiedy odgrzebane szczegóły układają się w spójną całość. To nie tylko historia. To jest coś, co Buglios i w swojej mowie wstępnej podczas procesu nazwał „silną obsesją na punkcie gwałtownej śmierci”¹. Chociaż sprawa zyskała powszechny rozgłos, kilka najbardziej podstawowych szczegółów wciąż spowija mrok tajemnicy. Istnieją co najmniej cztery wersje wydarzeń różniące się tym, kto komu zadał cios i jakiego użył noża, co powiedział i w którym miejscu stał. Zeznając na procesie, oskarżeni często zaprzeczali sobie nawzajem, a to, co mówili, nie zawsze pokrywało się z wynikami autopsji. W ich oświadczeniach, które wciąż zmieniali albo odwoływali, było sporo przesady. Maniacy wciąż czepiają się najmniejszych rozbieżności na miejscu zbrodni – kawałków uszkodzonej okładziny z rękojeści rewolweru, rozmieszczenia plam krwi i ustalonego oficjalnie przez koronera czasu zgonu ofiar. Nawet gdyby się udało rozwiać te wątpliwości, pozostałoby najważniejsze pytanie: czemu w ogóle do tego doszło?

Coś, co wstrząśnie światem

Piątek 8 sierpnia 1969 roku był najzwyczajszym dniem, jak można wywnioskować z pierwszej strony „Los Angeles

¹ Ibid., s. 344

Timesa”. W szpitalu mimo wysiłków lekarzy zmarł ranny policjant. Rada miasta uchwaliła nowy budżet dla szkół, a naukowcy ogłosili z optymizmem, że lodowa czapa na południowym biegunie Marsa może być zamieszкана przez lokalne formy życia. W Londynie członkowie The Beatles odbyli sesję fotograficzną na przejściu dla pieszych przed studiem nagrań, a ich zdjęcie trafiło na okładkę albumu *Abbey Road*. W wieczornych wiadomościach CBS Walter Cronkite mówił o dewaluacji franka.

Kosmiczny wyścig szedł pełną parą i Amerykanie snuli fantastyczne wizje przyszłości, czasem zaprawione odrobiną lęku. Niecałe trzy tygodnie wcześniej NASA po raz pierwszy wysłała ludzi a Księżyc, a zakończona powodzeniem misja stała się godnym podziwu świadectwem postępu technologicznego. Tymczasem na amerykańskich listach przebojów triumfowała piosenka duetu Zager and Evans *In the Year 2525* roztaczająca dystopijną wizję przyszłości, w której „obejdzie się bez prawdy i kłamstw/ A wszystkie swoje myśli, czyny i słowa/ Zażyjesz w pigułce”. Nikt wówczas nie przypuszczał, jak trafne okażą się te przewidywania.

Późnym wieczorem na ranczu Spahn Movie mężczyzna i trzy kobiety wsiedli do zdezelowanego żółtego faldona rocznik 1959 i odjechali w stronę Beverly Hills. Zatrudniony na ranczu robotnik usłyszał, jak jedna z kobiet mówi: „Dobierzemy się do tych pieprzonych świń”.

Słowa te wypowiedziała dwudziestojednoletnia Susan „Sadie” Atkins, która pochodziła z San Jose. Była córką dwojga alkoholików, jako nastolatka śpiewała w chórze kościelnym, a brat i jego koledzy często wykorzystywali ją

seksualnie. Porzuciła naukę w liceum i wyjechała do San Francisco, gdzie została tancerką w klubie topless i uzależniła się od LSD.

– Rodzice w kółko mi powtarzali: „Staczasz się, staczasz się, staczasz się” – wyznała później. – Więc się stoczyłam. Stoczyłam się na samo dno.

Obok niej z tyłu samochodu siedziała w kukki – członkowie grupy usunęli tylne fotele, żeby zrobić więcej miejsca na jedzenie, które wygrzebywali z kubłów na śmieci podczas regularnych objazdów po bogatych dzielnicach – jej rówieśniczka Patricia „Katie” Krenwinkel. Pochodziła z Inglewood i w dzieciństwie miała problemy hormonalne, których efektem był niepokonany apetyt i problemy z samoakceptacją. Jako nastolatka popadła w narkomanię i nadużywała alkoholu. W 1967 roku pewnego dnia została samochód na parking, nie zgłosiła się po wypłatę do agencji ubezpieczeniowej, w której pracowała, i znikła bez śladu.

W fotelu pasażera siedziała Linda Kasabian, dwudziestolatka z New Hampshire. Jako licealistka grywała w koszykówkę, ale rzuciła szkołę, żeby wyjść za mąż – jej małżeństwo przetrwało niespełna pół roku. Wkrótce potem została aresztowana podczas policyjnego nalotu na melinę narkomanów w Bostonie. Wiosną 1968 roku ponownie wyszła za mąż, urodziła dziecko i przeprowadziła się do Los Angeles. Czasami przedstawiała się jako Wiedźma Yana.

Za kierownicą forda siedział Charles „Tex” Watson, mierzący metr dziewięćdziesiąt wzrostu dwudziestotrzylatek z Teksasu. Za młodu Watson był skautem i kapitanem szkolnej drużyny futbolowej, a czasem pomagał ojcu, który

prowadził stację benzynową i sklep spożywczy. Kiedy dostał się na Uniwersytet Północnego Teksasu, wstąpił do bractwa studenckiego i zaczął brać udział w alkoholowych balangach. Wkrótce rzucił studia i przeprowadził się do Kalifornii, gdzie dostał pracę w sklepie z perukami. Pewnego dnia zabrał autostopowicza, którym okazał się Dennis Wilson, jeden z członków grupy Beach Boys, i to przypadkowe spotkanie na zawsze zmieniło życie ich obu.

Tamtej nocy wszyscy czworo byli od stóp do głów ubrani na czarno. Żadne z nich nie miało na koncie udokumentowanych aktów przemocy. Należeli do komuny hipisowskiej zwanej Rodziną. Żyjący w izolacji na ranchu Spahna – dwóch kilometrach kwadratowych górzystego terenu, który kiedyś służył za plan filmowy dla westernów i seriali – członkowie Rodziny przyjęli charakterystyczny dla New Age światopoglądowy zlepek environmentalizmu, kontestacji politycznej i apokaliptycznego chrześcijaństwa, których dopełnieniem było kategoryczne odrzucenie tradycyjnej moralności. Ale przede wszystkim kierowali się kaprysami swojego przywódcy, trzydziestoczteroletniego Charlesa Millesa Mansona. To on kazał im wyruszyć w tę nocną podróż.

Zdezelowany ford zatrzymał się przed domem z numerem 10050 przy Cielo Drive, gdzie mieszkała aktorka Sharon Tate ze swoim mężem, reżyserem Romanem Polańskim. Polański był wtedy w Londynie, gdzie szukał plenerów do filmu *Dzień delfina*, thrillera science fiction o tressowanym delfinie, który został wykorzystany do zamachu na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Jazda zajęła im około czterdzieści minut i było tuż po północy, kiedy dotarli na miejsce. W Benedict Canyon

panowała cisza, jak gdyby zatłoczone i gwarne Los Angeles znajdowało się w całkiem innym świecie. Zbudowany w 1942 roku dom należał kiedyś do pewnej francuskiej aktorki, która zaprojektowała go na wzór wiejskiej posiadłości z Normandii, gdzie spędziła młodość. Niewidoczny z ulicy długi i niski budynek stał na ustronnej arkadyjskiej działce, do której prowadziła ślepa droga. Był usytuowany na stoku wzgórza, co zapewniało malownicze widoki – panoramę Los Angeles na wschodzie i okazałe rezydencje Bel Air na zachodzie. W pogodny dzień widać było z niego oddalony o kilkanaście kilometrów Pacyfik.

Watson wspiął się na słup, żeby przeciąć kable telefoniczne. Wiedział, jak się do tego zabrać, bo był tu już wcześniej. Zamiast otworzyć przyciskiem sterowaną elektryczną bramę intruzi postanowili wdrapać się na skarpe i stamtąd zeskoczyć na teren posiadłości. Wszyscy byli uzbrojeni w noże myśliwskie, a Watson miał również rewolwer – buntline kaliber 22. Kasabian została przy wejściu na czatach, a pozostała trójka ruszyła w górę z boczka w stronę domu.

Na końcu podjazdu natknęli się na osiemnastoletniego Stevena Parenta, który właśnie zamierzał opuścić posesję. Przed chwilą odwiedził mieszkającego w domku dla gości dozorcę, któremu chciał sprzedać radiobudzik Sony, a teraz siedział w ramblerze swojego ojca i już opuścił szybę, żeby nacisnąć umieszczony na metalowym słupku przycisk do otwierania bramy. Watson podszedł i wycelował do niego z rewolweru.

– Proszę, nie rób mi krzywdy! – krzyknął chłopak i zasłonił się rękami. – Nikomu nic nie powiem!

Watson zamachnął się nożem i ranił go w lewy nadgarstek, przecinając pasek od zegarka. Potem strzelił do niego cztery razy – w rękę, w lewy policzek i dwa razy w klatkę piersiową. Parent zginął na miejscu, a samochód wypełniła kałuża jego krwi.

Odgłos wystrzałów poniósł się echem po okolicy, ale widocznie nikt z obecnych w domu przy Cielo Drive 10050 niczego nie usłyszał. Rezydencja miała grube kamienne ściany pokryte elewacją z desek, których kolor określano później często w artykułach prasowych jako „pomidorową czerwień”. Przy brukowanej ścieżce, która łukiem skręcała w stronę frontowego ganku, stała rustyklana studnia ozdobiona kamiennymi figurkami gołębi i wiewiórek. Za domem znajdował się basen i skromny bungalow dla gości. Wokół budynku ciągnął się niski żywopłot, a nad uroczymi rabatkami aksamitek i stokrotek zwieszały się konary majestatycznych sosen. Białe drzwi holenderskie prowadziły do salonu, w którym belkowany strop, kominek i drabina z sekwojowego drewna prowadząca na antresolę tworzyły przytulną atmosferę.

Dom był zamknięty, więc Watson rozciął moskitierę w oknie jadalni i dostał się do środka, a potem otworzył frontowe drzwi, żeby wpuścić Atkins i Krenwinkel. W salonie trójka morderców natknęła się na Wojciecha Frykowskiego, trzydziestodwuletniego imigranta z Polski i obiecującego filmowca, który spał na kanapie z zawieszoną na oparciu amerykańską flagą. Właśnie dochodził do siebie po dziesięciodniowym transie meskalinowym. Doświadczysz w dzieciństwie brutalności wojny, wiódł w Ameryce hulaszczę życie, a jego znajomi uważali, że ma w sobie coś

„posepnego i niepokojącego”. Należał do pokolenia Polaków, których historia pchnęła na „zwichrowaną orbitę”.

Frykowski przeciągnął się i potarł zaspane oczy, żeby przyrzeć się lepiej stojącym nad nim postaciom w czerni.

– Która godzina? – odezwał się, najwyraźniej biorąc intruzów za swoich przyjaciół.

Watson wycelowwał do niego z rewolweru.

– Cicho bądź – rozkazał. – Nie ruszaj się albo zginiesz.

Polak zeszytywniał, kiedy zaczęła do niego docierać groza sytuacji.

– Kim jesteś i co tu robisz?

– Jestem diabłem i przyszedłem zgotować wam piekło

– odpowiedział Watson i kopnął go w głowę.

Znalezionym z bielizniarce ręcznikiem Atkins związała Frykowskiemu ręce, a potem na polecenie Watsona zaczęła szukać innych domowników. Przez uchylone drzwi zajrzała do sypialni, gdzie zobaczyła rozpartą wygodnie na łóżku kobietę z książką. Była to Abigail Folger, dwudziestopięcioletnia dziedziczka fortuny kawowej. Przebywała w tym domu razem z Frykowskim, który od kwietnia był jej partnerem. Uniosła wzrok znad książki, uśmiechnęła się i pomachała do Atkins, która odpowiedziała jej takim samym gestem i ruszyła dalej w głąb korytarza.

W drugiej sypialni na skraju łóżka siedział jakiś mężczyzna i rozmawiał z leżącą obok ciężarną kobietą w samej bieliźnie. Mężczyzną był Jay Sebring, trzydziestopięcioletni stylistą fryzur. Jego zakład w Beverly Hills przyciągał wiele gwiazd filmowych, a Sebring zasłynął z tego, że chętnie strzygł klientów w prywatnym salonie, a nie w zwykłym zakładzie fryzjerskim. W czasie wojny koreańskiej służył

w marynarce wojennej i był bardzo skrytym człowiekiem – podobno jego numer telefonu znało tylko pięć osób.

Na łóżku leżała jego eksdziewczyna, dwudziestosześcioletnia aktorka Sharon Tate. Była w ósmym miesiącu ciąży i niedawno zagrała pierwszą swoją poważną rolę w filmie *12+1*, a menadżer obiecał jej, że kiedyś zostanie gwiazdą. Urodziła się w Dallas, a dzieciństwo spędziła w różnych miastach na całym świecie, w których stacjonował jej ojciec, oficer armii amerykańskiej. Była tak piękna, że podobno sparaliżowała ruch uliczny, kiedy po raz pierwszy odwiedziła Nowy Jork. Zdobywała tytuły miss i już nawet jako sześciomiesięczne niemowlę zajęła pierwsze miejsce w konkursie piękności dla dzieci. Miała nadzieję, że dzięki karierze filmowej zostanie doceniona za coś więcej niż tylko urodę. Kiedy zamieszkała w domu na Cielo Drive, który nazywała „miłosnym gniazdkiem”, z optymizmem spoglądała w przyszłość. Wierzyła, że narodziny dziecka scementują jej małżeństwo z Polańskim, który czasami ją poniżał.

Atkins zdała relację Watsonowi i jeszcze raz związała Frykowskiemu ręce kawałkiem nylonowej linki. Potem przyprowadziła do salonu Folger, grożąc jej nożem i poszła do drugiej sypialni po Sebringa i Tate.

– Idziecie ze mną – rozkazała im. – I ani słowa, bo was pozabijam.

Przerażeni domownicy proponowali intruzom pieniądze i wszystkie kosztowności, błagając ich, żeby nikomu nie robili krzywdy. Watson kazał im położyć się na brzuchu przed kominkiem. Kiedy Tate zaczęła płakać, powiedział jej, żeby się zamknęła. Związał Sebringowi ręce z tyłu i okręcił mu szyję liną, którą przerzucił nad belką stropową. Potem

w taki sam sposób skrępował Tate i Folger, używając drugiego końca liny.

- Człowieku, nie widzisz, że ta kobieta jest w ciąży?
- zaczął protestować Sebring.

Wstał i próbował zbliżyć się do Tate, ale Watson strzelił do niego dwa razy. Ranny w płuco Sebring osunął się na rozłożony przed kominkiem dywan. Ponieważ wszyscy troje byli połączeni liną, upadając, poderwał z podłogi Tate i Folger, które musiały stanąć na palcach, żeby uniknąć uduszenia. Watson opadł na kolana obok fryzjera i zaczął mu zadawać ciosy nożem, a potem wstał i kopnął go w głowę. Kazał Krenwinkel wyłączyć światło w całym domu.

- Co z nami zrobicie? – zapytała Tate.
- Wszyscy umrzecie – oznajmił Watson.

Frykowski, który zdołał uwolnić ręce z więzów, rzucił się na Atkins. Chwycił ją za włosy i próbował rozbroić, ona jednak kilka razy ugodziła go nożem, gdy tarzali się po podłodze salonu niczym bezładna kotłowanina ciał i poły-skującej stali. Mimo odniesionych ran Frykowski wstał i krwawiąc obficie, próbował uciekać, podczas gdy Atkins, która w ferworze walki zgubiła nóż, nie przestawała okładać go pięściami. Kiedy wybiegł na trawnik za domem, Watson strzelił do niego dwa razy, powalił na ziemię i zaczął uderzać rewolwerem w tył głowy z taką siłą, że rozbił mu czaszkę i uszkodził jedną z drewnianych okładzin chwytu.

Tymczasem w salonie Tate wciąż szlochała, a Folger, która zsunęła pętlę z szyi, również rzuciła się do ucieczki. Była w połowie trawnika, biegnąc w rozwianej koszuli nocnej niczym zjawa, kiedy dogoniła ją Krenwinkel i zadała jej

dwadzieścia osiem ciosów nożem. Po chwili dołączył do nich Watson.

– Poddaję się – wyszeptała Folger resztką sił. – Już nie żyję. Macie mnie.

Dwójka ociekając krwią i własnym potem morderców ujrzała Frykowskiego, który jeszcze raz zdołał się podnieść i szedł w ich stronę chwiejnym krokiem. Zadźgali go z taką samą mechaniczną precyzją, zatapiając ostrza w jego ciele. Podczas sekcji zwłok Polaka koroner naliczył pięćdziesiąt jeden ran kłutych, a prócz tego trzynaście urazów czaszki i dwie rany postrzałowe.

Atkins została w domu z Tate, która siedziała na podłodze i płakała. Wciąż była w samej bieliźnie i wokół szyi miała owiniętą linę, która łączyła ją z martwym ciałem jej byłego narzeczonego. Z całej czwórki domowników tylko ona jeszcze żyła. Nosiła w sobie dziecko, chłopczyka, i do porodu zostały jej dwa tygodnie. Watson wrócił do salonu i rozkazał Atkins zabić ostatnią z ofiar.

– Chcę urodzić moje dziecko – mówiła przez łzy Tate, błagając o darowanie życia.

– Kobieto, nie mam dla ciebie litości – odparła morderczyni, chwytając ją od tyłu za szyję. – Nie rusza mnie to, że umrzesz.

Ugodziła ją nożem w brzuch. Watson przyłączył się do niej. Obydwoje zadali szesnaście ciosów Tate, zanim ta krzyknęła, wzywając swoją matkę i skołała. Atkins dotknęła jednej z ran i oblizła palce. Krew była „ciepła, lepka i miała przyjemny smak”, jak później wspominała.

– Pokosztować śmierci, a mimo to dawać życie – powiedziała. – Oj, to dopiero sztuka.

Zanurzyła ręcznik w krwi Tate i podeszła do drzwi frontowych, gdzie zgodnie z poleceniem Watsona, który kazał jej „napisać coś, co wstrząśnie światem”, nagryzmoła słowo „Świnia”. Zadanie zostało wykonane.

Nad ranem Watson, Atkins, Krenwinkel i Kasabian wrócili na ranczo i udali się na spoczynek. Wszyscy smacznie spali.

– Odpłynęłam – wspominała później Atkins. – Jakbym była martwa. Nie mogłam o niczym myśleć. To było jak utrata przytomności, urwał mi się film... Miałam pustkę w głowie. Nie zostało we mnie nic, jakbym wszystko z siebie wyrzuciła.

To, co wydarzyło się przy Cielo Drive 10050, było aktem tak bezdusznego i niszczyckiego okrucieństwa, że cała Ameryka doznała głębokiego wstrząsu. Śledząc doniesienie prasowe z 8 i 9 sierpnia 1969 roku, można odnieść wrażenie, że te dwa kolejne dni należą do zupełnie innych światów. Media od razu zwietrzyły coś mrocznego i tajemniczego, bardziej makabrycznego niż zwykle morderstwo. Jedna z gazet pisała o „krwawej orgii”, w innych pojawiły się doniesienia o „mordzie rytualnym” i „dziwnych obrzędach religijnych”. Dziennikarze nie mieli dostępu do informacji albo je przekręcali. Może chodziło o narkotyki, a może nie; może Sebring miał na głowie czarny satanistyczny kaptur, a może nie. W szerszym ujęciu cała sytuacja jawiła się jako nieprawdopodobny koszmar. Jeden z policjantów, którzy jako pierwsi przybyli na miejsce, porównał leżące na trawniku ciała do polanych czerwoną farbą manekinów. Inny

powiedział: „To wyglądało jak pobojuwisko”. Dywany były przesiąknięte krwią, a w suficie widniały ślady po zabłąkanych kulach. W osobie Romana Polańskiego, który w swoich filmach jawnie, a wręcz ostentacyjnie nawiązywał do okultyzmu, opinia publiczna dopatrywała się kogoś, kto prawdopodobnie ściągnął na siebie fatum. Według pewnego artykułu prasowego tragiczna wiadomość dopadła Polańskiego w Londynie, kiedy gościł na przyjęciu i właśnie rozmawiał o niedawno zmarłym przyjacielu.

– Entliczek, pętliczek – powiedział. – To na kogo teraz padnie?

Wtedy zawołano go do telefonu i dowiedział się o masakrze w swoim domu.

Na tym się nie skończyło. W niedzielny wieczór 10 sierpnia na ranczu Spahna do czwórki morderców dołączyły kolejne osoby – osiemnastoletni Steven „Clem” Grogan, niezbyt rozgarnięty muzyk uzależniony od narkotyków, i rok starsza Leslie „Lulu” Van Houten, laureatka studenckiego konkursu piękności w hrabstwie Orange, która grała na suzafonie w szkolnej orkiestrze.

Do grupy dołączył również Charles Manson. Ich przywódca.

Wszyscy siedmioro wcisnęli się do zdezelowanego forda i wyruszyli na poszukiwanie nowych ofiar. Przez blisko trzy godziny krążyli w napiętej atmosferze po Los Angeles i okolicach aż wreszcie Manson wybrał posesję w Los Feliz przy Waverly Drive 3301, tuż obok domu, w którym kiedyś pomieszkiwał. Nie mając pojęcia, kim są lokatorzy,

najpierw sam wybrał się na zwiady uzbrojony w pistolet i nóż. Pozostali świadkowie twierdzą, że zabrał ze sobą Texa Watsona. W środku zastał Lena LaBiancę, czterdziestoczteroletniego właściciela sieci sklepów, który spał na kanapie z gazetą na twarzy. W sypialni znajdowała się jego trzydziestoosmioletnia żona Rosemary, którą ostatnimi czasy prześladował paranoiczny lęk przed włamywaczami i tak jak całe miasto była przerażona mordem w willi Polańskiego. Mimo to Manson dostał się do środka frontowymi drzwiami i w pojedynkę związał ich oboje. Potem wrócił do swoich pomocników, którzy czekali w samochodzie na końcu długiego podjazdu.

Do roli katów wyznaczył znów Watsona i Krenwinkel. Tym razem jednak przydzielił im Van Houten, która jeszcze nigdy w życiu nikogo nawet nie uderzyła. Rozkazał całej trójce wejść do domu i zabić wszystkich, których zastaną w środku.

Uzbrojeni tylko w noże myśliwskie mordercy wtargnęli do willi i rozdzielili małżonków. Lenowi zadali dwadzieścia sześć ciosów, po czym na brzuchu wycięli mu słowo „Wojna”, a obok wbili widelec. Zostawili także nóż do steków tkwiący w jego szyi. Rosemary miała czterdzieści jeden ran kłutych, z których znaczna część została zadana po śmierci. Przed opuszczeniem miejsca zbrodni sprawcy namazali na ścianach krwią Lena słowa „Powstanie” i „Śmierć świniom”. Na drzwiach lodówki zostawili krwawy napis „Healter Skelter” – przekręcony tytuł piosenki Beatlesów *Helter Skelter*.

Wewnętrzna martwota

Ta straszliwa rzeź w całym ogromie swego barbarzyństwa – śmierć ciężarnej gwiazdy i ciało mężczyzny podziurawione kuchennymi utensyliami – pogłębiła w społeczeństwie poczucie przesyty. Buntowniczy duch ostatniej dekady zaczynał nabierać zbyt dużego rozmachu. Musiało dojść do jakiejś konfrontacji, a przynajmniej takie można odnieść wrażenie, spoglądając z perspektywy czasu – utajona przemoc nie mogła bez końca pozostawać w zamknięciu.

Sama zbrodnia, jak również poszukiwanie morderców, a potem sensacyjny proces, który trwał przeszło dziewięć miesięcy, zdominowały Amerykę. Jednak Manson i jego banda wpadli w ręce policji dopiero pod koniec roku. Sprawcy pozostawali nieznani i wciąż przebywali na wolności, toteż mnożyły się plotki i napięcie sięgało zenitu. Przez jakiś czas śledczy sądzili, że morderstwa w Beverly Hills i w Los Feliz nie są powiązane ze sobą i państwo La-Bianca padli ofiarą naśladowcy. Nawet Trumanowi Capote, który zaledwie kilka lat wcześniej opublikował *Z zimną krwią*, udzieliła się ta gorączka spekulacji i wystąpił w programie *The Tonight Show*, żeby przedstawić swoją „fantastyczną” teorię. Jego zdaniem sprawca był jeden, cierpiał na silną paranoję i działał w napadzie szału.

Mijały kolejne dni, tygodnie i miesiące, a dwie oddzielne grupy dochodzeniowe z Departamentu Policji Los Angeles nie wymieniały ze sobą informacji, ponieważ detektywi byli przekonani, że prowadzą niepowiązane ze sobą śledztwa. Podczas gdy tracili cenny czas, podążając fałszywymi

tropami, prasa sceptycznie komentowała ich poczynania, nie szczędząc kąśliwych uwag. Przez cztery miesiące policja nie miała pojęcia, kto popełnił jedną z najbardziej szokujących zbrodni w historii Ameryki.

Wystarczy dostatecznie długo wałkować ten temat, żeby ktoś wreszcie przytoczył słynne spostrzeżenie Joan Didion z jej książki *The White Album*: „lata sześćdziesiąte skończyły się nagle 9 sierpnia 1969 roku. Tego dnia napięcie przerwało tamy. Dopłynęła się paranoja”. Jest w tych słowach ziarno prawdy, jednak cały ten proces nie zaszedł nagle. Zaczął się tego dnia, ale tak naprawdę trwał aż do 1 grudnia 1969 roku, gdy policja ogłosiła swój sukces i naród po raz pierwszy zobaczył twarze morderców. Wtedy to paranoja wkroczyła w fazę pełnego rozkwitu, a idealizm lat sześćdziesiątych wydał ostatnie tchnienie.

Na konferencji prasowej Edward M. Davis, szef policji Los Angeles, stanął przed rzędem mikrofonów i oznajmił zdumionym dziennikarzom, że śledztwo zakończyło się powodzeniem. Wydano nakazy aresztowania Charlesa Watsona, Patricii Krenwinkel i Lindy Kasabian. Reszta nazwisk miała zostać ujawniona w sądzie podczas odczytania aktów oskarżenia. Ku zaskoczeniu wszystkich dodał, że sprawy Tate i LaBianca łączą się ze sobą, a podejrzani mogą być odpowiedzialni za szereg innych niewyjaśnionych morderstw.

Nie wspomniał tego dnia o Mansonie i Atkins, gdyż obydwoje znajdowali się już za kratkami. W połowie października Manson wraz z grupą swoich zwolenników wpadł w ręce policji podczas nalotu na ranczo Barkera w posępnej Dolinie Śmierci, kryjówkę złodziei samochodów położoną

w jeszcze bardziej odludnym miejscu niż ranczo Spahna. Atkins usłyszała zarzut morderstwa – niezwiązanego ze sprawą; ofiarą był Gary Hinman, dawny przyjaciel Mansona – i przebywała w więzieniu dla kobiet Sybil Brand Institute w hrabstwie Los Angeles, gdzie pochwaliła się innej więźniarce, że brała udział w masakrze na Cielo Drive. Ta przypadkowa wzmianka doprowadziła do przełomu w śledztwie i detektywi zaczęli łączyć fakty, które pozostawały dla nich zagadką przez blisko cztery miesiące.

Dziennikarze znaleźli kolejny gorący temat. Zdjęcia Mansona oraz innych członków Rodziny pojawiały się na pierwszych stronach gazet i ekranach telewizorów na całym świecie. Ich widok wzbudzał silny dysonans. To nie były twarze zatwardziałyh przestępców ani zbiegłych pensjonariuszy zakładu dla obłąkanych. To byli hipisi, typowe dzieci-kwiaty w pełnym rozkwicie swojej naiwnej młodości – brodaci i długowłosi mężczyźni nosili naszyjniki z paciorków i kowbojskie kurtki z frędzlami; kobiety w dżinsach, ręcznie farbowanych pstrokatych bluzkach i bez staników miały zmierzwione i tłuste włosy. Mówili również jak hipisi – rozprawiali o etosie wolnej miłości, wyrzekając się monogamii i małżeństwa na rzecz eksperymentów seksualnych. Tworzyli koczownicze komuny, które wędrowały wzdłuż kalifornijskiego wybrzeża w pomalowanych na jaskrawe kolory autobusach i rozpadających się gruchotach. Wierzyli, że środki halucynogenne wzmacniają duszę i rozwijają świadomość. Swoje dzieci, które przychodziły na świat w warunkach naturalnych, wychowywali wspólnie w duchu wiejskiej prostoty.

Jednak w innych aspektach ich filozofia miała zabarwienie gnostyckie i ocierała się o teologię. Ich zdaniem czas nie istniał. Głosili, że nie ma Boga, zła ani śmierci. Każda istota ludzka jest Bogiem i diabłem jednocześnie, a oba te byty przenikają się w niej nawzajem. Tak naprawdę wszystko we wszechświecie łączy się ze sobą, stanowi jedność. Kodeks moralny Rodziny, jeśli w ogóle takowy istniał, był pełen sprzeczności. Wprawdzie nie godziło się zabijać zwierząt – nawet węże i pająki, które gnieździły się w ich ruderach, traktowali z szacunkiem – jednak w zabijaniu ludzi nie widzieli nic złego, ponieważ życie ludzkie w zasadzie nie miało dla nich wartości. Zabicie człowieka było równoznaczne z „odłamaniem drobnutkiego kawałka z jakiegoś wielkiego kosmicznego ciasta”, jak to później ujął Tex Watson. Jeśli już, to śmierć była czymś, na co trzeba się otworzyć, ponieważ zapewniała duszy jedność z wszechświatem.

Skąd wzięły się takie poglądy? Sprawcy morderstw dorastali i kształcili się w przyzwoitych i tradycyjnych amerykańskich społecznościach, ale teraz nikt się do nich nie przyznawał. Rodzina w swojej utopijnej wspólnocie, swobodzie seksualnej i zamiłowaniu do narkotyków zapewniała odskocznię każdemu, kto czuł się zagubiony i przytłoczony politycznymi realiami epoki. Ruch hipisowski rokował niemałe nadzieje, odrzucając skwapliwie ceniony system wartości na rzecz czegoś nowego i niesprawdzonego. Po masakrze w willi Polańskiego okazało się jednak, że hipisi i odmieńcy są nie tylko zabawnym urozmaicheniem, ale też potrafią zachwiać ustalonym porządkiem. Zatroškani moralisci zawsze wytykali im rozwiązłość, podczas gdy inni patrzyli na nich z utajoną zazdrością. Rodzice obawia-

li się, że ich dzieci rzucą naukę, zostaną hipisami i nigdy się nie ustatkują. W całym kraju młodzież podróżowała autostopem. W zgodnej opinii tradycjonalistów hipisi byli na ogół nieszkodliwi, ale nikt nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Sporadycznie dochodziło do aktów przemocy z ich udziałem, jednak żadne z tych przestępstw nie było tak bezwzględne i metodycznie zaplanowane jak seria morderstw, które popełnili wyznawcy Mansona. Ponadto było w tej sprawie zbyt wiele niejasności, począwszy od motywów zbrodni aż po liczbę ofiar. Według niektórych szacunków w ciągu czterech miesięcy w 1969 roku mogły zginąć aż trzydzieści trzy osoby, i to tylko dlatego, że jeden człowiek kazał je zabić. To było coś zupełnie nowego.

Kiedy naród wciąż dochodził do siebie po ogłoszeniu aktów oskarżenia, 12 grudnia w magazynie „Time” ukazał się artykuł, którego autor w pokrętny sposób utożsamiał hipisów z przemocą. Jego zdaniem „wezwanie do wolności” stanowiło podatny grunt dla „przestępców i psychopatów” w takim samym stopniu jak dla niewinnych pacyfistów. Ale jak, zastanawiał się, „dzieciaki, które rzuciły szkołę w imię dobroci i czułości, miłości i piękna, mogą ulegać zbrodnierzczym podszeptom?”. Doktor Lewis Yablonsky, socjolog i autor książki *The Hippie Trip*, wyraził opinię, że członkowie tej subkultury są ludźmi „samotnymi i wyobcowanymi”:

Nawet kiedy zachowują się, jakby kogoś kochali, mogą być całkowicie niezdolni do współczucia. To właśnie dlatego mogą zabijać z taką obojętnością. Pod względem społecznym wielu hipisów cechuje wewnętrzna

martwota. Niektórzy muszą doświadczyć skrajnie silnych emocji, żeby w ogóle cokolwiek poczuć. Potrzebują intensywnych i wyszukanych doznań, jak akty seksualne, przemoc lub nagość – wszelkiego rodzaju dionizyjskich uniesień.

„Mechaniczny chłopiec”

No i czy ten Charles Milles Manson, którego twarz nagle zaczęła pojawiać się wszędzie, nie był typowym przykładem miłośnika dionizyjskich uniesień? Miał trzydzieści pięć lat, z czego niemal połowę spędził za murami różnych instytucji penitencjarnych, i potrafił zniewalać serca i umysły swoich zwolenników, przeważnie młodych kobiet. Większa część Rodziny liczącej około trzydziestu członków pozostawała pod jego wpływem od niespełna dwóch lat, a niektóre osoby znacznie krócej. Mimo to wszyscy byli gotowi bez zbędnych pytań zrobić wszystko, czego od nich zażądał, włącznie z zamordowaniem całkiem obcych ludzi. Wymagał od nich bezwarunkowego posłuszeństwa.

Manson nie był typowym materiałem na charyzmatycznego przywódcę. Kiedy przyszedł na świat w Cincinnati w stanie Ohio, jego matka miała szesnaście lat. Ojca nigdy nie poznał, za to szybko przekonał się, jak smakuje nędza i cierpienie. Mało kto nie patrzył na niego z góry, co w całkiem dosłownym sensie było niejako uzasadnione, ponieważ miał niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu.

Zaniedbywano go w dzieciństwie. Jeszcze kiedy był niemowlakiem, matka zostawiała go bez opieki i wólczyła się

po knajpach ze swoim bratem. Kiedyś postanowili obrabować mężczyznę, który wyglądał na zamożnego, ale po paru godzinach schwytali ich policja i matka Mansona dostała kilkuletni wyrok. Miał osiem lat, kiedy wyszła na wolność. Tułali się po różnych obskurnych norach razem z jej kolejnymi partnerami. Jego matka w międzyczasie znów trafiła do więzienia za kradzież, aż końcu poznała pewnego komiwożera z Indianapolis, wyszła za niego w 1943 roku i próbowała ograniczyć picie. Manson już jako dziewięciolatek wagarował i regularnie okradał lokalne sklepy. Matka szukała mu rodziny zastępczej, ale zaopiekował się nim kurator i wysłano go do Gibault School for Boys – prowadzonej przez katolickich misjonarzy szkoły dla młodocianych przestępców w Terre Haute w stanie Indiana. Kiedy stamtąd uciekł, matka odesłała go z powrotem. Ta rozłaka musiała odcisnąć na nim piętno, przynajmniej zdaniem jego akolity Watsona, który napisał później, że Manson „szczególną nienawiścią darzył kobiety będące matkami. Prawdopodobnie miało to coś wspólnego z jego uczuciami wobec własnej matki, chociaż nigdy o tym nie mówił. Najbardziej zbliżył się do tej kwestii w jednej ze swoich piosenek: »Jestem mechanicznym chłopcem. Jestem chłopcem swojej mamusi«”¹.

„Mechaniczny chłopiec” nie zagrzał długo miejsca w Terra Haute. Po dziesięciu miesiącach znowu uciekł i zaczął okradać domy, żeby zdobyć środki na utrzymanie.

¹ Prawdopodobnie nawiązanie do programu telewizyjnego dla dzieci „H.R. Pufnstuf”. W jednym z odcinków (wyemitowanym 27 września 1969) pojawia się postać chłopca, który pod wpływem zaklęcia zamienia się w posłuszną mechaniczną lalkę (przyp. tłum.).

Wkrótce trafił do poprawczaka w Omaha w stanie Nebraska. Stamtąd również udało mu się zbiec i zaczął włamywać się do sklepów spożywczych. Kiedy skończył trzynaście lat, wysłano go do Indiana Boys School, zakładu o surowszym rygorze, gdzie, jak twierdził, gwałcili go inni chłopcy. Nauczył się symulować chorobę psychiczną, żeby nie zbliżali się do niego. I notorycznie uciekał – osiemnaście razy w ciągu trzech lat.

W lutym 1951 roku, kiedy miał szesnaście lat, ponownie uciekł, tym razem z dwoma innymi chłopcami. Przekroczyli granicę stanu skradzionym samochodem, co kwalifikowało się jako przestępstwo federalne. Ich eskapada zakończyła się na blokadzie drogowej w Utah, a Manson został wysłany do National Training School for Boys, rozpoczynając swoją długą przygodę z amerykańskim systemem resocjalizacyjnym. Przeniesiono go do Natural Bridge Honor Camp, gdzie zgwałcił jednego z pensjonariuszy, grożąc mu nożem. Podobnych wybryków dopuszczał się w zakładzie poprawczym w Wirginii, a na koniec trafił do Ohio i w 1954 roku uzyskał przedterminowe zwolnienie za dobre sprawowanie, aczkolwiek psychiatrzy często wspominali o jego „antyspołecznym zachowaniu” i „traumie psychicznej”.

Niecały rok później był już żonaty i spodziewał się dziecka. Imał się różnych prac, ale nie potrafił zerwać z kradzieżami samochodów, a kilkoma z nich jeździł, ponownie przekraczając granicę stanu. Za te przestępstwa został skazany na trzy lata odsiadki w Terminal Island w San Pedro w stanie Kalifornia. Gdy w 1958 roku wyszedł na wolność, jego żona złożyła pozew rozwodowy, a on zajął się

stręczycielstwem, żeby zarobić na życie. W maju następnego roku ponownie go aresztowano, tym razem za sfalszowanie czeku na 37 dolarów i 50 centów. Groziło mu za to dziesięć lat więzienia, jednak sędzia wzruszony błaganiem kobiety, która oświadczyła, że kocha Mansona i chce go poślubić, orzekł wyrok w zawieszeniu.

Manson nadal parał się stręczycielstwem, kradł samochody i robił przekręty finansowe. Był pod obserwacją FBI, gdyż agenci mieli nadzieję, że przyłapią go na pogwałceniu ustawy Manna zabraniającej przerwzucania prostytutek między stanami. Nigdy nie udało im się wnieść oskarżenia, ale wyjeżdżając do Meksyku w towarzystwie jednej z prostytutek, Manson złamał warunki zawieszenia kary i zaczął obo wiązywać dziesięcioletni wyrok więzienia. Ten sam sędzia, który dał mu szansę, teraz oznajmił:

– To człowiek, który udowodnił, że warunkowe zawieszenie kary nie jest dla niego odpowiednim rozwiązaniem.

Podczas długiej odsiadki Manson zaczął grać na gitarze i zainteresował się scjentologią. Nie robił tajemnicy ze swoich muzycznych aspiracji i zza krat obserwował z wielkim zainteresowaniem błyskawiczny wzrost popularności Beatlesów. Personel więzienia zwrócił uwagę na jego talent do snucia porywających opowieści i ciągle „problemy z osobowością”.

Kiedy Manson wychodził na wolność, miał trzydzieści dwa lata, z czego ponad połowę spędził pod kuratelą państwa. Życie w więzieniu odpowiadało mu do tego stopnia, że zapytał, czy nie mógłby po prostu tam zostać. Zawarta w jednym z raportów opinia głosi: „Nie ma planów na przyszłość i twierdzi, że nie ma dokąd pójść”.

Krwiożercze roboty

Kiedy czytałem pierwsze doniesienia prasowe na temat Rodziny, trudno mi było oddzielić wyolbrzymienia od autentyzmu. Często przedstawiano Mansona jako zręcznego manipulatora – „diabolicznego flecistę z Hameln”, jak to ujął pewien dziennikarz, dysponującego jakąś mroczną siłą. Tydzień po aresztowaniu członków sekty na okładce magazynu „Life” ukazało się zdjęcie Mansona, który patrzył na świat opętańczym wzrokiem niczym współczesny Rasputin. Na fotografiach wewnątrz numeru „kobiety Mansona”, głównie nastolatki, prezentowały swoje dzieci, obejmując je szczupłymi rękami. Deklarowały miłość i dozgonne wsparcie dla „Charliego”, którego uważały za wcielenie Chrystusa i szatana w jednym.

Media zaczęły już nazywać Rodzinę „koczowniczą bandą hipisów” i „pseudoreligijną sektą”; a według pewnego wstrząsającego artykułu na łamach „New York Timesa” jej członkowie „wiedli gnuśny żywot, oddawali się wolnej miłości, urządzali nocne wyścigi motocyklowe i byli ślepo posłuszni tajemniczemu guru, który sprawował władzę nad ich ciałami i umysłami”.

Natomiast prasa undergroundowa odnosiła się do Mansona z wielką wyrozumiałością. Ludzie uważali, że jest niewinny, a władze przesadnie rozdmuchały jego status przywódcy lewicującej wspólnoty. „Tuesday’s Child”, kontrkulturowy dwutygodnik o zabarwieniu okultystycznym ukazujący się w Los Angeles, nadał Mansonowi tytuł „człowieka roku”. Niektórzy nawet nie zwracali uwagi na fakt, że był inicjatorem serii morderstw. Najbardziej szoku-

jąca była wypowiedź Bernardine Dohrn z antywojennego ruchu studenckiego Weather Underground: „Zaszlachtować te bogate świny ich własnymi nożami i widelcami, a potem nad ich truchłem zjeść kolację, ale odjazd! Podoba nam się Charles Manson”.

Obejrzałem pierwszy telewizyjny materiał z udziałem Mansona, który toczył dookoła gniewnym wzrokiem, kiedy strażnicy prowadzili go zakutego w kajdanki i zgarbionego na przesłuchanie przedprocesowe. Nie dostrzegłem zbyt wielu śladów jego osławionej charyzmy, ale stało się dla mnie jasne, czemu otaczająca go wynaturzona aura pseudomistycyzmu i więziennej agresji stwarzała pozory autentyczności. Ilekroć pojawiał się na sali rozpraw, dawał błazeński pokaz kontrolowanego obłędu. Kłócił się z sędzią, dowodząc, że powinien mieć prawo do reprezentowania samego siebie. „Dziewczęta” naśladowały zachowanie swojego przywódcy, wdając się w publiczne sprzeczki z sędzią oraz przydzielonymi im z urzędu obrońcami i odmawiając przestrzegania nawet najbardziej podstawowych zasad sądowej etykiety.

Fakt, że Manson został aresztowany w Dolinie Śmierci – miejscu tak nieprzyjaznym jak mało które w Stanach – uczynił jego postać jeszcze bardziej fascynującą. Dziennikarze porównywali go do Rasputina, podkreślając jego urok pustynnego wędrowca. Zdaniem jednego z nich był „brodatym, demonicznym Mahdim”, który przewodził „quasireligijnej hipisowskiej sekcji narkomanów i przestępców”. Inny reporter opisał go jako „zarośniętego człowieka o przeszywających brązowych oczach”, Rodzinę zaś nazwał „koczowniczą grupą w hipisowskim stylu”.

Zbrodnicze zapędy Mansona wydawały się niewytłumaczalne. Nawet w notatkach, które biegli psychiatrzy nagryzmolili na sali sądowej, można natrafić na wzmiankę o „psychice rozdartej na strzępy przez potężne siły agresji, poczucia winy i wrogości”.

Zauważyłem jednak, że poza całym tym przedstawieniem opinia publiczna przejawiała bardziej szczere i głębsze zainteresowanie sprawą – tą samą układanką, która pochłonęła mnie bez reszty. Jak i dlaczego ci młodzi ludzie przeobrazili się w morderców? A bardziej dosadnie: czy coś takiego mogło spotkać każdego amerykańskiego dzieciaka – czy każdy mógł posunąć się „za daleko”?

Proces zaczął się w lipcu 1970 roku. Na miejsce odosobnienia członków ławy przysięgłych wybrano hotel Ambassador, w którym dwa lata wcześniej doszło do zamachu na Roberta Kennedy’ego. Gmach sądu w centrum Los Angeles stał się areną medialnego cyrku, jakiego jeszcze nigdy nie widziano w żadnym kraju. Sześcioro podsądnych – Charles Manson, Patricia Krenwinkel, Susan Atkins, Leslie Van Houten, Steve Grogan i Linda Kasabian – wzbudzało takie zainteresowanie, jakby byli najsłynniejszymi osobistościami świata. (Tex Watson stanął przed sądem w Teksasie, gdzie go schwytano, i miał wrócić do Kalifornii na mocy ekstradycji międzystanowej).

Vincent Bugliosi stał się osobą publiczną i de facto tłem dla Mansona. Chociaż patrząc na nich, nikt by tego nie zauważył, byli rówieśnikami – tak naprawdę Manson był starszy tylko o trzy miesiące. W chwili rozpoczęcia procesu obaj mieli po trzydzieści pięć lat. Jednak łysiejący Bugliosi w trzyczęściowym garniturze stanowił uosobienie normal-

nego świata z całą powagą jego władzy i moralności. Czasem wydawał się tak stary, że mógłby być ojcem Mansona.

W *Helter Skelter* Bugliosi odnosi się z niechęcią do stereotypowego wizerunku prokuratora jako prawnicowego orędownika prawa i porządku, który pragnie „za wszelką cenę uzyskać wyrok skazujący”.¹ Ale robił dokładnie takie wrażenie. Na zdjęciach często otaczają go mikrofony reporterów, kiedy wygłasza swoje poważne oświadczenia, pomagając światu pojąć rzeczy niepojęte.

W oświadczeniu wstępnym Bugliosi, postać nie mniej barwna od Mansona, nadał sprawie, która i tak już budziła wielkie emocje, jeszcze bardziej sensacyjny charakter. Motyw zbrodni, który przedstawił, budził zdumienie swoją osobliwością, łącząc w sobie rasizm z apokaliptyczną retoryką biblijną, a to wszystko do taktu piosenki Beatlesów – „angielskiej grupy muzycznej”, jak ich po sztywniacku określił.

Manson był wielkim fanem Beatlesów i wierzył, że przemawiają do niego przez ocean słowami piosenek. (...) Dla Charlesa Mansona określenie „Helter Skelter”, które jest tytułem jednej z piosenek Beatlesów, oznaczało murzyńskie powstanie, mające zniszczyć całą białą rasę poza Charlesem Mansonem oraz jego wybranymi zwolennikami, zamierzającymi uciec przed Helter Skelter na pustynię i schronić się w bezdennej otchłani – w miejscu, którego opis Manson

¹ V. Bugliosi, *ibid.*, s. 131–132.

zaczerpnął z ostatniej księgi Nowego testamentu, z 9 rozdziału Objawienia św. Jana.¹

Żaden sąd nigdy nie słyszał czegoś takiego. Ludzie zabijają się nawzajem z przeróżnych powodów, jednak zazwyczaj mają one charakter osobisty, a nie metafizyczny. Rzadko się zdarza, aby ktoś spletał tego rodzaju wątki – rasizm, muzykę rockową i proroctwa biblijne – w jedną śmiertelnie niebezpieczną filozofię. Kiedy przesłuchiwany w charakterze świadka Paul Watkins, były członek Rodziny, zabrał głos, żeby rozwinąć temat Helter Skelter, szczegóły okazały się jeszcze bardziej szokujące. Watkins mówił o „wielkim podziemnym mieście” ukrytym w tak szerokiej rozpadlinie, że „można po niej pływać ślizgaczem”. O mieście, któremu „nie trzeba słońca ni księżyca” i w którym rośnie „drzewo życia, rodzące dwanaście owoców”² Rodzina dowiedziała się również z Księgi Objawienia. Dzięki tym owocom ze swojego podziemnego Elizjum miała powiększyć swoją liczebność do 144 tysięcy osób.

Chociaż brzmiało to nedorzeczenie, tłumaczył Bugliosi, zwolennicy Mansona przyjęli jego przepowiednię Armagedonu, jak gdyby przyniósł ją z góry Synaj. Byli gotowi zabijać na jego rozkaz, żeby proroctwo się spełniło.

Nie wyjaśnia to jednak, dlaczego Manson wybrał za cel akurat rezydencje Polańskich i LaBianców. Osobiście znał poprzedniego lokatora tego pierwszego domu, Terry’ego

¹ Ibid. s. 345

² Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Warszawa 1950, s. 1416

Melchera, producenta muzycznego i syna Doris Day. Marzyło mu się, żeby zostać gwiazdą rocka i chciał nagrać płytę, a Melcher rozważał taką możliwość, jednak ostatecznie się rozmyślił. Wiosną 1969 roku Manson postanowił odwiedzić Melchera w nadziei, że zdoła go nakłonić do zmiany zdania, ale zamiast niego zastał przyjaciela nowych lokatorów. Nie spodobał mu się opryskliwy ton, jakim ów człowiek oznajmił mu, że producent już tam nie mieszka. W rezultacie dom przy Cielo Drive stał się symbolem establishmentu, który go odrzucił. Jak powiedziała później Susan Atkins, przez ten zbiorowy mord Manson chciał „zasiać strach w Terrym Melcherze”, wysyłając jasny sygnał wyniosłym gwiazdom i biznesmenom. Jeśli chodzi o LaBianców, Manson mieszkał kiedyś tuż obok, w domu, który aktualnie stał pusty, ale to nie miało znaczenia. Uznał sąsiadów za wystarczająco dobry cel, ponieważ bez względu na to, kim byli, również symbolizowali establishment, któremu chciał zgotować Helter Skelter.

W owym czasie był to najbardziej długotrwały i kosztowny proces w historii Stanów Zjednoczonych. Sprawa nie wyglądała tak prosto, jak mogłoby się wydawać, ponieważ Manson tak naprawdę nikogo własnoręcznie nie zabił. W rezydencji Polańskich nigdy nie był i chociaż wtargnął do domu LaBianców, opuścił go, zanim jego wyznawcy dokonali rzezi. Oznaczało to, że można go skazać za morderstwo pierwszego stopnia jedynie na podstawie oskarżenia o zmowę. Zgodnie z zasadą odpowiedzialności za cudze czyny każdy uczestnik zmowy jest również winny przestępstw, które popełnili jego współnicy. Innymi słowy gdyby oskarżenie zdołało udowodnić, że Manson zlecił wszystkie te

morderstwa, byłby za nie odpowiedzialny, nawet jeżeli nie tknął palcem żadnej z ofiar. Bugliosi musiał wykazać, że Manson posiadał wyjątkową zdolność oddziaływania na myśli i czyny swoich zwolenników – że członkowie jego grupy byli gotowi zrobić wszystko, czego od nich zażądał, włącznie z pozbawieniem życia zupełnie obcych osób.

Sprawa byłaby skomplikowana, nawet gdyby wszystko przebiegało gładko, tymczasem Rodzina robiła wszystko, żeby sytać piasek w tryby. Gdy w pierwszy dzień procesu Manson zjawił się w sądzie, miał na czole wyciętą literę „X”, a rana była tak świeża, że jeszcze krwawiła. Następnego dnia takie same krwawe ikсы pojawiły się na czołach Atkins, Krenwinkel i Van Houten. Trzy młode kobiety przemierzały sądowe korytarze w podskokach, trzymając się za ręce i śpiewając kołysanki autorstwa Mansona. Śmiały się w oczy fotografom, którzy tłoczyli się, żeby zrobić im zdjęcia. Ilekroć podczas rozprawy ich guru czymś się oburzał, robiły to samo, naśladując jego miny i powtarzając przekleństwa.

Sędzia Charles Older często groził Mansonowi usunięciem z sali. Raz podsądny odwzajemnił reprimendę:

– To ja będę musiał cię usunąć, jeśli nie przestaniesz. Mam swój własny mały system... Myślisz, że żartuję?

Chwycił zaostrzony ołówek, przeskoczył nad stołem i rzucił się w kierunku Oldera. Został obezwładniony, tymczasem jego współoskarżone również zerwały się z miejsc i zaczęły skandować niezrozumiałe wersety po łacinie. Manson nie stracił animuszu i kiedy strażnicy wlekli go w stronę wyjścia, krzyczał:

– W imię chrześcijańskiej sprawiedliwości ktoś powinien uciąć ci głowę!

Był to przebłysk dzikiej brutalności, którą skrywał pod maską filozofa i mistyka. Sędzia zaczął nosić pod togą trzydziestkę ósemkę.

Nie mniejsze zamieszanie panowało poza salą rozpraw, gdyż na rogu Temple Street i Grand Avenue co rano zbierali się członkowie Rodziny i urządzali czuwania. Obdarci, ale pełni determinacji siadali w kręgach na chodniku i śpiewali piosenki na cześć swojego przywódcy. Kobiety karmiły piersią niemowlęta, a mężczyźni śmiali się i przeczesywali palcami długie zmierzwione włosy. Wzorem Mansona wszyscy mieli na czołach wycięte ikсы i rozdawali ulotki, które wyjaśniały, że ich samookaleczenie jest symbolem „wyiksowania ze społeczeństwa”.

Bugliosi nazywał oskarżonych „krwiożerczymi maszynami” – pretensjonalne ale trafne określenie. Wyrażało niepokojącą dwoistość ich natury – odczłowieczeni i sztuczni, byli wyprani z emocji, a mimo to zdolni do popełnienia morderstwa, którego żywiołowość przechodziła wszelkie wyobrażenia. Tex Watson wręcz gloryfikował później tę bezduszną i automatyczną ekstazę zabijania: „jeszcze i jeszcze, raz za razem, moja ręka jak maszyna, zespolona z ostrzem”. Susan Atkins wyznała współwięźniarce, że zatonienie noża w ciężarnym brzuchu Tate było „jak spełnienie seksualne. Zwłaszcza kiedy tryskała krew. To lepsze od orgazmu”. A za tym wszystkim stał Manson, dla którego seks stanowił esencję życia, mimo że porównywał się do mechanicznego chłopca.

Stan nicości

Pierwszy etap procesu zakończył się po siedmiu wyczerpujących miesiącach, a ława przysięgłych potrzebowała dziesięciu dni, zanim wydała jednogłośnie wyrok, uznając oskarżonych za winnych. W drugiej fazie prokurator miał zaprezentować argumenty, które przemawiały za orzeczeniem wyroku śmierci. Na poparcie swojego stanowiska oskarżyciele i obrońcy przytaczali niespotykane dotąd dowody – między innymi zbiór materiałów na temat LSD, który miał dowieść, że jest to środek służący nie tylko do rozrywki, ale również do sterowania umysłami. Podczas tej drugiej fazy procesu roztrząsano także kwestie, które nie dawały mi spokoju przez dwadzieścia lat. Czy Manson faktycznie poddawał swoich wyznawców „praniu mózgu”? A jeżeli tak, to w jaki sposób? I jeżeli sprawca przestępstwa rzeczywiście znajduje się pod psychologicznym wpływem innej osoby, to kto ponosi odpowiedzialność za jego czyny?

Po raz pierwszy trzy oskarżone – Atkins, Krenwinkel i Van Houten – były przesłuchiwane w charakterze świadków. Jedna po drugiej opowiadały o swojej roli w morderstwach, oczyszczając Mansona z wszelkich podejrzeń o udział i deklarując całkowity brak skruchy. Krewni ofiar słuchali zszokowani, jak z obojętnością i kliniczną precyzją opisywały ostatnie chwile ich najbliższych. Wyjaśniały, że zabicie człowieka jest aktem miłości, gdyż uwalnia go od ograniczeń bytu fizycznego.

Niemal bez zmrużenia oka Susan Atkins wspominała, jak Tex Watson kazał jej zamordować Tate:

– Spojrzał na nią i powiedział: „Zabij ją”. No to ją zabiłam. Ugodziłam ją nożem, ona upadła, a wtedy znowu ją dźgnęłam. Nie pamiętam, ile ciosów jej zadałam.

Na pytanie, czy czuła wrogość wobec Sharon Tate albo pozostałych ofiar, Atkins wzruszyła ramionami.

– Widziałam ich wszystkich po raz pierwszy – odparła.
– Jak mogłam coś do nich czuć, skoro ich nie znałam?

Wiedziała, że to, co robi, „jest w porządku”, dodała, gdyż było jej „z tym dobrze”.

Patricia Krenwinkel wyznała, że nic nie czuła, zadając Abigail Folger dwadzieścia osiem ciosów nożem.

– O czym tu opowiadać? Po prostu to zrobiłam i nie widziałam w tym nic złego.

Zapytana, czemu pozbawiła życia kobietę, która była jej zupełnie obca, odpowiedziała:

– No cóż, trudno to wyjaśnić. Coś takiego przyszło mi do głowy i ta myśl zamieniła się w czyn.

– Żal to tylko słowo. Nikogo nie wskrzesi – oznajmiła Leslie Van Houten, która zadźgała Rosemary LaBiancę.

– Co czuję? Stało się. Zginęła i tyle.

Wobec tak nieskruszonej postawy kobiet Bugliosi miał twardy orzech do zgryzienia, chcąc przekonać sąd do orzeczenia kary śmierci. Jego rozumowanie opierało się na pozornej sprzeczności. W pierwszej fazie procesu twierdził, że oskarżone były „bezwolnymi zombie” i Manson miał nad nimi całkowitą władzę. Teraz musiał dowieść czegoś odwrotnego – że w takim samym stopniu jak ich przywódca odpowiadają za popełnioną zbrodnię.

– Chociaż są automatami gotowymi z niewolniczym posłuszeństwem spełnić każdy rozkaz Mansona – twierdził

– nadal przenika je do głębi taka żądza krwi, że zasługują na najwyższy wymiar kary.

Zdaniem adwokatów oskarżone były tylko pionkami. Posługując się precyzyjnie wyważoną kombinacją narkotyków, hipnozy i zastraszania, Manson zamienił te łagodne kobiety w psychopatyczne morderczynie. W tamtym czasie amerykańscy naukowcy mieli za sobą niewiele ponad dziesięć lat badań nad LSD – zdecydowanie za mało, aby mogli wyciągnąć jednoznaczne wnioski. Manson, argumentowała obrona, użył narkotyków, żeby omotać swoje łatwowierne wyznawczynie, dostać się do najgłębszych zakamarków ich umysłów i urobić je dla swoich potrzeb.

Byli członkowie Rodziny często wspominali jego prze-myślane metody „prania mózgu”, które zaczynało się od uwodzenia nowych kandydatek poprzez „bombardowanie” ich miłością, seksem i narkotykami. Świadek oskarżenia Paul Watkins zeznał, że na Spahn Ranch mniej więcej co tydzień odbywały się orgie. Organizował je Manson, który rozdzielał narkotyki, osobiście ustalając wielkość każdej dawki. A potem, jak opisuje Bugliosi w swojej książce:

Charlie tańczył wkoło, a wszyscy pozostali za nim, jak pociąg. Gdy zdejmował ubranie, reszta robiła to samo. (...) Potem Charlie kierował orgią, układał ciała, kombinacje, pozycje.

– Modelował z nich piękny wzór, jakby tworzył rzeźbiarskie arcydzieło – powiedział Watkins – ale zamiast gliny używał żywych ciał.¹

¹ Ibid., s. 259

Jeśli któreś z tych „ciał” miało zahamowania, Manson pozbywał się go. Pod jego wpływem ludzie robili rzeczy, przed którymi najbardziej się wzbraniali.

Wprowadzenie do grupy pewnej trzynastolatki polegało na tym, że Manson odbywał z nią stosunek analny, podczas gdy reszta to obserwowała. Manson „wszedł także w młodego chłopaka”, żeby pokazać innym, że sam odrzucił wszelkie zahamowania.¹

Tex Watson w swoich wspomnieniach *Will You Die For Me?*, które ukazały się w 1978 roku, opowiada podobną historię. „W domu na ranchu znajdowało się wyłożone w całości materacami pomieszczenie służące do uprawiania seksu. (...) Jeśli ulegaliśmy jeszcze jakimś zahamowaniom, oznaczało to, że wciąż odtwarzamy role, do których zaprogramowali nas rodzice”.

Manson sprawiał, że jego wyznawcy czuli się wyzwoleni i pożądani, a potem izolował ich od świata zewnętrznego, zakazując im kontaktów z bliskimi i powierzając codzienne zadania na rzecz wspólnoty. W jego świecie nie było gazet, zegarów ani kalendarzy. Nadawał członkom swojej grupy nowe imiona.

– Żeby osiągnąć całkowite wyzwolenie umysłu, powinienam wymazać z pamięci swoją przeszłość – oświadczyła Susan Atkins. – Najlepiej to osiągnąć poprzez zmianę tożsamości.

¹ Ibid., s. 260

Dopełnieniem inicjacji był udział w długich sesjach LSD – często ciągnących się nieprzerwanie przez kilka dni – podczas których Manson tylko udawał, że zażywa narkotyk, albo przyjmował znacznie mniejsze dawki. Zachowując przejrzystość umysłu, manipulował swoimi wyznawcami przy pomocy wymyślnych gier słownych i technik stymulacji zmysłowej, które opracował w ciągu dwóch lat po zwolnieniu z więzienia. Van Houten wyznała, że z każdym następnym transem narkotycznym coraz bardziej oddalała się od rzeczywistości, aż w końcu nawet rażące sprzeczności wydawały się możliwe do pogodzenia – dobro mogło być złem, Bóg mógł być Szatanem, śmierć mogła być tym samym, co życie.

Paul Watkins żywił przekonanie, że Manson chciał przy pomocy LSD „wpoić członkom Rodziny swoją filozofię, wykorzystać ich lęki oraz słabości i wymusić na nich posłuszeństwo”. I to mu się udało. Opowiedział o sytuacji, w której Manson oznajmił Susan Atkins, że chciałby od niej dostać połówkę kokosa, nawet gdyby miała po nią jechać do Rio de Janeiro. Atkins „wstała natychmiast i szła już do drzwi, gdy Charlie powiedział: »Zapomnij o tym«”.¹ Manson był mistrzem w „odnajdywaniu głęboko zakorzenionych kompleksów”. Potrafił „zagnieździć się w czyjejś głowie”, pozbawiając swoją ofiarę punktów odniesienia, moralnego oparcia i korzeni. Członkowie Rodziny żyli w „nowym świecie” wykreowanym przez LSD, które sprawiało, że stawali się „wolni od pragnień i zespoleni z wirującym poza czasem kalejdoskopem życia”.

¹ Ibid., s. 260

Jak na ironię gdy jego wyznawcy coraz bardziej upodabniali się do robotów – napisał jeden z członków Rodziny, Brooks Poston – Manson nauczał ich, że ludzie w normalnym świecie „są jak komputery”. Ich poglądy są po prostu efektem programowania społeczeństwa, a każdy program można wykasować. Przed sądem Susan Atkins porównała Tate do „maszyny IBM – słowa wydobywały się z jej ust, ale nie miały dla mnie sensu”.

Tex Watson napisał, że celem nowicjatu w Rodzinie było osiągnięcie wypalenia wewnętrznego – zażywanie LSD i słuchanie piosenek Mansona w ilościach gwarantujących powrót do stanu „czystości i nicości”, co przypominało powtórne narodziny. Nazywano ten proces „zgonem umysłu” – pozwalał on nowym członkom włączyć się do grupy i dzielić z nią „jeden wspólny mózg”.

Żeby zrobić użytek z tego rodzaju historii, Bugliosi musiał uciec się do prokuratorskich magicznych sztuczek. Przedstawiał podsądne jako ofiary psychologicznej manipulacji, jednak nie twierdził, że Manson rzeczywiście wykreował swój zastęp morderców. Wbrew teorii Mansona o „programowaniu umysłów” nie istniał w ogóle wzorzec, według którego jeden człowiek mógłby zrobić coś takiego z drugim. Zamiast tego, dowodził Bugliosi, w podświadomości członków sekty musiały od dawna kryć się jakieś mordercze zapędy, które Manson potrafił rozpoznać i wykorzystać, mimo to każda z oskarżonych kobiet jest odpowiedzialna za swoje czyny. Stanowisko to nie przestaje mnie intrygować i wprowadzać w zakłopotanie – wynika z niego, że w grę wchodziła taka forma prania mózgu, której ofiary do pewnego stopnia pozostawały „sobą”.

Jednak kiedy przyszło do podjęcia decyzji o karze śmierci, obrona powołała biegłych psychiatrów, którzy zaprzeczyli, jakoby Manson poddawał swoich wyznawców praniu mózgu, a także oświadczyli, że wyznawcy ci nie mogą ponosić odpowiedzialności za popełnione morderstwa. Narkotyki zapewniły Mansonowi dostęp do najbardziej chwiejnych sfer podświadomości. Naukowcy wyjaśnili, jak LSD może zburzyć i odbudować osobowość – jak trzeźwy „przewodnik”, który ma za zadanie przeprowadzić kogoś spokojnie przez wielogodzinny trans, może nadużyć swojej roli, zaszczepiając w umyśle tej osoby złowrogie ideały i przekonania. Poprzez wielokrotne powtarzanie i umacnianie ideały te zapuściły korzenie i rozkwitały, nawet kiedy członkowie Rodziny byli trzeźwi. Jeśli dodać do tego inne metody zniewalania, jak deprywacja sensoryczna i hipnoza – obie Manson opanował – możliwe było przeprogramowanie czyjegoś kodeksu moralnego, aby osoba ta nie uznawała takich wartości jak dobro i zło.

Jednym ze świadków obrony był doktor Joel Fort, psychiatra i założyciel pierwszego w kraju ośrodka, w którym prowadzono terapię przy pomocy LSD. Wyraził on przekonanie, że Manson stosował ten narkotyk, aby wykształcić „w dziewczętach nowy wzorzec zachowania” skutkujący „całkowicie neutralną postawą, która pozwalała na zupełnie inne niż w przypadku normalnych ludzi postrzeganie śmierci albo zabijania” i eliminujący „zaangażowanie społeczne, współczucie i wartości moralne”.

W jednej z najbardziej znamiennych dyskusji przed sądem adwokat Mansona Irving Kanarek zapytał doktora Forta, czy mogłaby istnieć „szkoła zbrodni” kształcąca wyrzutków społecznych podsycanych narkotykami:

– Powiedzmy, że dysponując wiedzą na temat LSD, można prowadzić szkołę zbrodni i tak zaprogramować ludzi, żeby wyruszyli w świat i popełniali morderstwa. Chce pan powiedzieć, że to jest wykonalne, że można w ten sposób zawładnąć ludzkim umysłem?

– Właśnie o tym mówię – odparł Fort, choć przyznał, że nigdy czegoś takiego nie widział.

Porównał takie działania do możliwości rządu, który wykorzystując mgliste patriotyczne ideały, przysposabia żołnierzy do zabijania w imię kraju.

Jednak nikt nie próbował wyjaśnić, jak ktoś pokroju Mansona, który spędził tyle czasu w więzieniu i odebrał tak ubogie wykształcenie formalne, opanował zdolność sterowania ludźmi przy pomocy takich technik. I nie dało się zaprzeczyć, że tego dokonał, bez względu na to, czy stosował gruntowne pranie mózgu, czy tylko silny przymus. Nikt inny tylko on. Jest to najbardziej niezgłębiona tajemnica tego procesu, która wciąż spędza mi sen z powiek. I chociaż cała ta wymiana zdań na temat LSD brzmi kontrowersyjnie, nie wydaje się zadowalającym wyjaśnieniem.

W swojej książce Bugliosi zмага się z tą intrygującą zagadką. Jak Charles Manson, niewykształcony były skazaniec, który ponad połowę życia spędził za murami zakładów penitencjarnych, w ciągu niespełna roku zdołał przemienić grupę pokojowo nastawionych hipisów – między innymi pochodzącą z małego miasteczka bibliotekarkę, gwiazdora uniwersyteckiej drużyny futbolowej i laureatkę konkursu piękności – w okrutnych i bezrefleksyjnych morderców? Autor *Helter Skelter* przyznał, że nie udało mu się znaleźć odpowiedzi. W epilogu napisał:

Wszystkie te czynniki spowodowały, że Manson miał władzę nad innymi. Czy jednak suma tych czynników równa się morderstwu z zimną krwią? Możliwe, ale ja sądzę, że było coś jeszcze, jakieś niepoznane przez nas ogniwo, które pozwoliło Mansonowi zgwałcić i zdeprawować umysły swych wyznawców tak dalece, że wystąpili przeciwko najbardziej zakorzenionemu przykazaniu, „Nie będziesz zabijał”, i mordowali na jego polecenie z ochotą, a nawet z entuzjazmem.

Istniało prawdopodobnie coś w charyzmatycznej, tajemniczej osobowości Mansona, jakaś niepojęta cecha lub siła, której nikt dotąd nie potrafił określić ani odgadnąć. Być może nauczył się tego od innych. Cokolwiek to było, wiem, że Manson znał doskonale skład swojego specyfiku. I martwi mnie, że my nie znamy tej recepty (...).¹

Ostatecznie Manson i jego wyznawczynie i tak zostali skazani na karę śmierci. Buglios stwierdził, że „mieli we krwi” skłonność do zabijania innych. Odstawali od wszelkich norm i taki argument o wiele bardziej przemawiał zarówno do ławy przysięgłych jak i do opinii publicznej. Coś takiego jak pranie mózgu i całkowita utrata woli trudniej sobie wyobrazić, a co dopiero zaakceptować.

– Kiedy dostatecznie często zażywasz LSD, dochodzisz do stanu nicości – oświadczył Manson przed sądem.
– Osiągasz stan, w którym nie ma myśli.

¹ Ibid., s. 531

Nikt nie zamierzał tego głębiej analizować. Manipulator, który wyzwolił zakorzenione w młodych kobietach zło – to było coś. A coś było lepsze niż „stan nicości”.

Kiedy ława przysięgłych orzekła wyrok śmierci dla czworga oskarżonych – Mansona, Krenwinkel, Atkins i Van Houten; Kasabian była świadkiem oskarżenia i została uniewinniona – trzy skazane kobiety zerwały się na równe nogi. Tak samo jak Manson miały ogolone głowy i za jego przykładem powiększyły sobie ikсы na czołach. Były wściekłe.

– Osądziliście samych siebie! – krzyknęła Krenwinkel do przysięgłych.

– Dobrze zamknijcie drzwi i uważajcie na swoje dzieci!

– zawtórowała jej Susan Atkins.

– Cały wasz system to tylko gra! – dodała podniesionym głosem Leslie Van Houten. – Wy zaślepieni głupcy. Wasze dzieci zwrócą się przeciwko wam.

Na ulicy jedna z najbardziej zagorzałych zwolenniczek Mansona, Sandy Good, powiedziała, patrząc w obiektyw kamery telewizyjnej:

– Kara śmierci? Wszystkich was to czeka.

I tak oto Rodzina znikła ze sceny i sprawa ponurej zbrodni mogła przejść do historii. Siedem osób padło ofiarą brutalnego morderstwa, ale opinia publiczna była przekonana, że wyjaśniono, jak i dlaczego do tego doszło, a złych ludzi dosięgła sprawiedliwość.

Pozostała część książki w tłumaczeniu i redakcji.

Premiera 17 lipca

Książkę wydrukowano na papierze
Creamy 2.0 70 g/m²
dostarczonym przez ZiNG Sp. z o.o.

ZiNG

www.zing.com.pl

Wydawnictwo Akurat
imprint MUZA SA
ul. Sienna 73, 00-833 Warszawa
tel. +4822 6211775
e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Skład i łamanie: MAGRAF S.C., Bydgoszcz
Druk i oprawa: Totem.com.pl, Inowrocław